

Staruszek spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Zwariowałeś pan dzisiaj?

– Odzyskałem coś, od czego się ludzie odzwyczaili.

– Co?

– Wolność.

Staruszek poczerwieniał ze wściekłości. Szarpnął kołnierz munduru.

– Co pan mi tu łeb truje – wrzasnął. – Ładować czy nie?

– Ładować – ryknął Dziewiątka.

Podszedł do niego Apostoł.

– Nie wygłupiaj się – powiedział. – Wiesz chyba, co to jest trzydzieści kubików?

Dziewiątka zapalił.

– Któryś ze świętych podobno w młodości był złodziejem – powiedział. – Tak nam mówił nasz więzienny kapelan. Czemuż ja nie mógłbym tą drogą zostać jednym z królów nieba?

– Bóg...

– Nie – powiedział Dziewiątka. – Nie skarże mnie. Gdyby znalazł się razem z nami, tutaj – robiłby to samo.

Apostoł pokiwał głową.

– Coś mi się zdaje – rzekł – że masz rację, ty świnio.

– Stworzył świat, w którym sam nie potrafiłby żyć – powiedział Dziewiątka. – Ale mimo to możesz kochać go dalej. Człowiek bez wiary jest jak więzień, który nie wie, z jakiego paragrafu siedzi: wszyscy biorą go za szpicla... – Dał znak ładowaczom. – Kończyć – powiedział.

Apostoł spojrział na niego uważnie.

– Dziwny jesteś jakiś dzisiaj. Zdaje mi się, że masz zamiar zrobić dzisiaj jakieś świństwo.

– To można rozmaicie nazwać – powiedział Dziewiątka.

Spiął ładunek łańcuchami, powbił kłamy i usunął klocki spod kół. Spojrział na resory przodu i pokręcił głową: wyginały się jak luki.

– Radzę ci, zrzuć trochę – powiedział Apostoł.

– Nie – rzekł Dziewiątka. – Raz w życiu naprawdę przejadę się z drzewem. Polubiłem je... – Spojrział na Apostoła z boku. – Cały kurs idzie na lewo – powiedział. – Odczep się ze swoimi radami.

Wsiadł do kabiny i począł rozgrzewać silnik. Inspektor spojrział na zegarek.

– Już chyba nie przyjedzie – rzekł do Zabawy. – Który tam jedzie pierwszy?

– Chwilę.

Poszedł wzdłuż wozów; Dziewiątka ruszał już z miejsca.

– Lecisz pierwszy?

– Tak.

– Inspektor pojedzie z tobą. Wyszadzi go przy stacji. Po drodze.

– Dawaj go.

Zabawa zawahał się.

– Słuchaj – rzekł. – Zroluj plandekę i opuść szybę, dobrze?

– Po jaką cholere mam marznąć? Nie ma wielkiego śniegu.

– Tamten ma astmę – powiedział Zabawa – i górskie powietrze dobrze mu robi.

– Chcesz, żebym sobie odmroził pysk?

– Będzie mniej gadał.

– Dobrze. Jeśli partia tego żąda...

Począł zwijać plandekę nad szoferką. Zabawa powrócił do inspektora.

– Pojedziecie z Dziewiątką. Ten, który wam się nie podobał...

Inspektor skrzywił się.

– Z nim? Niech to diabli... – Znowu rzucił rozpaczliwe spojrzenie na zegarek. – Nie ma rady, psiakrew. Muszę jechać z nim, inaczej ciągnę mi ucieknie.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Czołem, towarzysze – krzyknął inspektor. – Wszystkiego dobrego.

– Znacie, towarzysze, Krupę? – zapytał Warszawiak.

– Nie.

– To...

– Odejdź, Warszawiak – powiedział Zabawa. Odepchnął go i usadowił inspektora obok Dziewiątki. – Jazda...

Dziewiątka włączył bieg; ciężki wóz ruszył z trudem, miażdżąc ziemię. Popatrzyli za nim.

– Zwariował chyba – powiedział Zabawa; wóz Dziewiątki kołysał się jak pijany. – Po co tyle naładował... – Zwrócił się do Warszawiaka: – Kto jedzie następny? Ty?

– Ja – powiedział Orsaczek. – Jeszcze mi trochę dolożą i jadę.

Amortyzatory przodu siadły, jakby w nich nie było ani centymetra płynu. Wóz szedł twardo i kierownica waliła w ręce Dziewiątki; już po kilometry od ciągłych wstrząsów wściekle zabolowały go barki. Odwracał co chwila głowę i patrzył na inspektora; ten przy każdym

wstrząsając dzwonił zębami i chwycił się rozpaczliwie taśm ochronnych.

– No, jak tam? – zapytał Dziewiątka.

– Co... co? – wydzwonił inspektor.

– Humorek jest?

– Czy ten las nigdy się nie skończy?

Przód zakolysał, inspektor wyrzucił głową o pałąk plandeki.

– Skończy się. Już dzisiaj.

– Jak to: dzisiaj?

– Ja sam się dziwię.

– Mówcie poważnie – warknął inspektor.

Dziewiątka spojrzał na niego.

– Poważnie. Szosa będzie za kilometr.

Drzewa już rzedyły. Przejeżdżali teraz przez najgorszy odcinek drogi; jeździli tędy jesienią, zamieniając drogę w bagno; potem chwycił gwałtowny mróz i droga pełna była twardych dołów i kolein. Resory dzwoniły o ramę; Dziewiątka jechał na pierwszym biegu, prawie do połowy wychylony z kabiny; oglądał uważnie każdy kawałek drogi i starał się wybierać najlepsze miejsca do przejazdu. Kiedy w końcu błysnęło pasmo szosy, Dziewiątka od stałego manewrowania kierownicą był tak wyczerpany, że musiał przystanąć.

Inspektor poruszył się nerwowo.

– Co jest?

– Silnik się zagrzał.

– Człowieku, śpieszy mi się na pociąg.

– Pogadaj pan z silnikiem, mnie się też śpieszy, będę panu wdzięczny.

Kurek chłodnicy po kwadransie przestał dymić i ruszyli dalej. Jechali pustą, zaśnieżoną szosą wysoko nad lasem i widzieli teraz czerwono zachodzące słońce. Pod nimi, w dolinach i jarach, kotłowały się ciemniejące już mgły.

– Stańcie na chwilę – powiedział po jakimś czasie inspektor.

– Co jest?

– No co? Pi pi.

– Pi pi? Nasi chłopcy odlewają się w biegu.

– Bez żartów – powiedział drżącym głosem inspektor; był siny z zimna, tylko uszy jego płonęły jak dwie gwiazdy.

Dziewiątka nacisnął pedał hamulca; wóz biegł jednak dalej. Z całej siły pociągnął za ręczny i wtedy dopiero – po wielu metrach – wóz niechętnie przystanął.

– Jasna cholera – warknął Dziewiątka.

Wyskoczył z kabiny i wśliznął się pod wóz; inspektor patrzył ogłupiały i słuchał klątw Dziewiątki. Ten w końcu wylazł.

– Hamulce poszły spać – rzekł.

– Co się stało?

– Dobił na jakimś przeskoku i resor przeciął mi przewód. Cały hydroł wyciekł.

– A ręczny hamulec? – powiedział nieśmiało inspektor.

Dziewiątka przysiadł na stopniu.

– Ręczny? Na dwadzieścia ton? Raz pociągnę i już po ręcznym.

– Więc co?

Dziewiątka usiadł za kierownicą.

– Jadę dalej – powiedział. – Muszę być pierwszy w mieście, tak czy tak. Tam sobie coś pokombinuję.

– Poczekajcie lepiej na tamtych.

– Oni tędy będą jechać za dwie godziny.

– Dopiero? Dlaczego?

– Pracujemy kolektywnie. Jak jeden robi lewy kurs, to reszta ma defekty.

Inspektor nie dosłyszał; wiatr porwał tumany śniegu i kołował nimi po szosie. Mówił coś do Dziewiątki, lecz usta jego poruszały się niemo.

Kiedy wreszcie wiatr ścichł nieco, inspektor wrzasnął do Dziewiątki:

– Klakson, klakson...

– Odejdź pan od wozu o dwa kroki – wrzasnął Dziewiątka.

Inspektor posłuchał go; stał przez chwilę, rozglądając się nieprzytomnie, potem podszedł do Dziewiątki.

– No i co?

– O to chodzi, że nic. Cały czas trzymałem rękę na sygnale. Słyszał pan coś?

– Nic. Tu są góry. Kiedy jest taki wiatr jak dzisiaj, można o trzy kroki strzelać i...

Znów zakłębiło się wszystko. W jednej sekundzie szosa stała się niewidoczna; olbrzymie masy śniegu kołysały wściekle i patrzącym zdawało się, iż to jest ostateczny kształt świata; a w pewnej chwili wiatr zwałił się w dół, szarpnął tam zeschnięte krzaki; tu, na górze, wokół wozu stężała nagle cisza – miękka i śnieżna, nabrzmiała zimną słodyczą – i znów inny świat wydawał się bajką.

– Dosyć tego – powiedział Dziewiątka. – Ja jadę... – Spojrzał na niebo; czerwona kula malała. – Nie będę się włókl po ciemku bez hamulców. Mam zaszczyt pożegnać pana.

Włączył ze zgrzytem bieg; inspektor wskoczył w ostatniej chwili. Dziewiątka rozpedził wóz; niby ogromny nóż, tnąc powietrze, podjeżdżali pod wysokie wzniesienie; byli coraz bliżej słońca, widzieli coraz więcej zalanej czerwonym światłem ziemi, i w pewnej chwili to lodowate, czyste słońce wydało im się nawet ciepłe, a kiedy znaleźli się już po drugiej stronie wzniesienia, ujrzeli idącą środkiem szosy grupę żołnierzy pogranicza. Dziewiątka położył dłoń na sygnale, lecz wielki wóz był w ramionach wiatru małym kotem; Dziewiątka usłyszał za ledwie żalospny pisk. Żołnierze ryczeli:

Partia, co gromi faszystów

Partia orędziem mas.

Do socjalizmu – prowadzi nas.

Zwycięski krok...

– Nagła cholera – powiedział cicho Dziewiątka.

Przełączył bieg na czwórkę, potem na trójkę i słyszał straszny, wdzierający się światłem bólu pod czaszkę jazgot skrzyni biegów – lecz nie słyszeli go tamci; byli o kilometr pod nimi, szli w największym wietrze, a kanty ich okutych nart, lufy automatów i podkówki butów błyszczały wesoło w zachodzącym słońcu. Dziewiątka ściągnął ręczny hamulec; przez chwilę wóz biegł wolniej; potem uczuł swąd spalonej taśmy ferroda i znów rozjazgotała się wściekle skrzynia biegów. A potem, u najwyższego jej tonu – kiedy całą mocą swego ciała przerzucił bieg na dwójkę – pod nogami Dziewiątki jęknęło niewytrzymałe ogromnego ciężaru sprzęgło i wóz ruszył jak oszalały; i już po kilku metrach strzałka szybkościomierza waliła o sztyft.

I wtedy przyszedł spokój. Dziewiątka stęzał; wychylił głowę i widział z obu stron szosy przepaść – piękny jar, na którego dnie wiosną rosły dziwne czerwone kwiaty o żółtych lodygach, gdzie rosła trawa – pachnąca, gorąca i miękka, którą kołysał łagodnie ciepły leśny wiatr; ta czarna, pełna zeschniętych krzaków przepaść, pełna oblodzonych kamieni na jej głębokim dnie, skąd niebo nad górami wydawało się jeszcze czystsze i jaśniejsze; ta wypełniona ostrym, dzikim wiatrem pustka ciągnęła się daleko. Chwycił kierownicę i chciał z całej siły przerzucić ją w bok, kiedy koło zamarło nagle; inspektor wisiał

na szprychach. Jego twarz rozciągnął wiatr i to były tylko wielkie, silne usta.

- Nie - zawył. - Nie... Prosto...

Zaparli się nogami w żelazo podłogi, aż zatrzeszczały kości ich stóp, kolan i lędźwi; ciągnęli ku sobie koło sterowe i wóz tańczył od jednego do drugiego krańca szosy, w szumie coraz większym. Inspektor schylił nagle głowę i wgrzył się w przegub Dziewiątki; ten osłabł na chwilę i pędzili wprost na idących - rozśpiewanych i głuchych od wiatru. Potem Dziewiątka wyszarpał się; chwycił leżącą pod nogami łyżkę od opon i ciosem, który siłę brał ze wszystkich chwil jego życia, roztrzaskał głowę tamtemu; na kolana opadła mu miazga. Ostatnie, co czuł, to nagle ciepło swoich rąk. Spojrzał na nie - były czerwone; spojrzal na zachodzące słońce, na czerwone podkówki tamtych, potem - rozbijając na łupki swoimi trzydziestoma tonami ochronne, białe słupy - runął w ciemny szum.